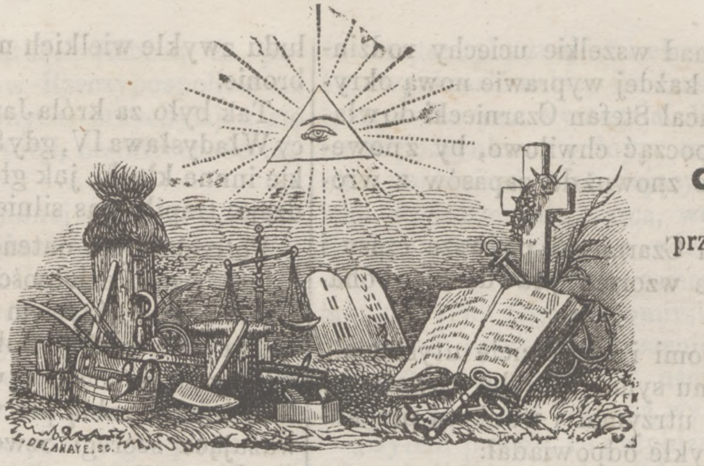
№ 25.

WARSZAWA.

21 Czerwca.

1863.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

WSPOMNIENIA DZIEJOWE.

III.

(Patrz Numer 20 z r. b. Czytelni Niedzielnej)

KILKA USTĘPÓW Z ŻYCIA
STEFANA CZARNIECKIEGO.

(Dokończenie.)

—

Po ukończonym pogrzebie a następnie uczciwym i zgodnym z braćmi podziale ojcowizny Czarniecki rotmistrz natenczas chorągwi huzarskiej, obdarzony od Króla Władysława (IV) czwartego, w nagrodę męztwa, rozległemi w powiecie Starodubowskim dobrami, po kilkokrotnych w Kobierzysku odwiedzinach, gdy młoda i piękna Zófja tak powierzchowną urodą jako i niewieściemi przymiotami, coraz mocniej ku sobie jego rycerskie serce przywiązywała, oświadczył braciom prośbę o jej rękę. Otrzymał uroczyste na to przyrzeczenie, a zaślubiny na zapusty (1637) tysiąc sześćset trzydziestego siódmego roku odbyć uradzono.

Jako wróżbę szczęścia dla siebie i przyszłej małżonki Stefan zapragnął, by dwaj opiekunowie jego i dowódzcy: wojewoda Krakowski i Hetman Koniecpolski obecnemi byli obrzędowi ślubnemu, bo wróżył sobie, że oni jak zawsze, tak i w chwili dla niego najważniejszej, najlepiej zastąpić są zdolni zmarłego rodzica, oraz, że sama ich obecność i błogosławieństwo, dla niego i jego przyszłej małżonki staną się rękojmią szczęścia.

W tym celu wyjechał naprzeciw Hetmana odbywającego właśnie podróż z Brodów do Warszawy i zaprosił Go do domu rodziców narzeczonej.

Szczęśliwe wiedli pożycie młodzi małżonkowie. Piękne przymioty Zofij tem jaśniej świeciły obok tej prawej, niezgiętej duszy i męztwa dzielnego rycerza. Ustawiczne nieprzyjacielskie napady na kraj nasz, zwłaszcza tej dziczy Tatarskiej, odwoływały go ciągle od boku miłej małżonki i z ulubionej wsi Czarńcy, którą w podziale po ojcu wziąwszy, z zamiłowaniem ozdabiał i porządkował.

Obrona wszakże ojczystej ziemi pierwszą

była u Stefana nad wszelkie uciechy rodzinnej strzechy. Po każdej wyprawie nową okryty chwałą powracał Stefan Czarniecki do własnego gniazda spocząć chwilowo, by znowemi siły wystąpić znowuż do zapasów z wrogiem.

To też Stefan Czarniecki po wsze czasy i wieki pozostanie wzorem prawdziwie bohaterskich mężów.

Gdy jego znajomi i przyjaciele utyskiwali, iż Bóg nie dał mu syna, któryby chwałę takiego bohatera utrzymał i wnukom przekazał, bohater zwykle odpowiadał:

„Bóg najsprawiedliwszy w wyrokach swoich niemylny, wie najlepiej co czyni. Czyż każdy z synów chwałę ojca i uczciwe imię godnie nosić, i godnie przekazać dzieciom swym potrafi?

Najczęściej mężnych ojców synowie gnuśnemi potomkami bywają. Może w tem właśnie łaska Stwórcy nademną, gdyby miał stać się niegodnym miana rycerza polskiego, albo też splamić imie moje, tak drogo krwią i potem wywalczone przezemnie!“

Dwie córki swoje wydał Stefan Czarniecki: jednę za Jana na Ruszczy Branickiego Marszałka Nadwornego koronnego, drugą za Leszczyńskiego wojewodę Podlaskiego.

Posłuchajmy co o Czarnieckim powiada ówczesny dziejopis, który w swej księdze czyny wielkich mężów owego czasu jako i dzieje narodu opisał:

„Stefan Czarniecki wzorem rycerzy naszego czasu stając się, ani o żonie, ani o dzieci ani o ubiory nie dbając, jak żywot swój rozpoczął tak i skończył. Dzień i noc na koniu z szablą, nie stojąc o namioty ani karety, ni wyśmienite potrawy i napoje. Pogoda czy słota zawsze jednakowo; pokarm onego jeśli jest wędzonka, a napój woda, pościelą wojłok; wezgłowiem siodło; takie spanie onego było.

Nie czekając dnia, o północku czy zwieczora łowił nieprzyjaciela i znosił. Spraw jego i dzielności wypisać żaden nie może.

Możesz być sławniej udzielona pochwała temu, co tylekroć razy wystawiając na harc mężną pierś swoją, zbawił ojczyznę i braci od ostatecznej zagłady?

W chwilach niebezpieczeństwa narodu Bóg miłosierny niechący zatraty wiernego sobie ludu zwykle wielkich mężów zsyła mu ku obronie.

Tak było za króla Jana Kazimierza, następcy Władysława IV, gdy Szwedzi a z niemi wszelkie inne klęski, jak głód, powietrze, nieurodzaje, trapiły nas silnie.

Potrzeba było natenczas wielkiéj siły moralnej, wzoru dzielności i męztwa, pobudek do czynu natchnąć życiem naród gnębiony. Czarniecki nasz dzielny dokazał tego kilkoma słowy wymówionemi, i własnym przykładem. Na koniu z szablą pierwszy rzucił się w przeważające szeregi Szwedów. Za nim bez namysłu poszli wszyscy z nową otuchą i siłą.

Po odniesionem a rzec można przez niego wyłącznie dokonanem zwycięztwie, król Jan Kazimierz dając Stefanowi na wieczne czasy na dziedzictwo Starostwo Tykocińskie tak przemówił do bohatera:

„Rzeczom zewsząd zgubionym jeden tylko zostawał ratunek, a tym ratunkiem tym darem nieba był Stefan. Szeroko po tylu królestwach rozpostarty wylew okropnych nieszczęśliwości, skażona wiara, wydarte skarby kraju, najmocniejsze Królestwa warownie wzięte lub zniszczone, my sami opuszczeni, wolni do niewoli prawie przyprowadzeni, między tak okropnemi zewsząd klęski, długo nikogo któryby opór śmiał stawić, dopóki nad mniemanie wszystkich nie zabłysło męztwo Stefana.

Wśród takiej burzy pragnęli wszyscy męża, któryby zepsute i niesforne rycerstwo do ściślejszej przywiódł karności, któryby upadającego królestwa chwałę podźwignął.

To wszystko spełnił Czarniecki, jak na to po ziszczeniu się tak wielkich życzeń naszych, z podziwem wszyscy patrzymy. Umiejętność wojennego rzemiosła po innych krajach kwitnąca w nim jednym ocalała.

Przecież wszystkiego z umiarkowaniem od naszej łaski dopraszał się, ażeby ani ze wszystkiem o sobie zapominał, ani zbytecznie pamiętał.

Niesprawiedliwością byłoby nie dać mu tego, co on dał wszystkim: głowie naszej koronę, królestwo stanom, Ojczyznę obywatelom, mieszkańców miastom, miasta prowincjom, koronie i wielkim księztwom prowincje.

Którego więc dzielnością Rzeczpospolita prawie ze swego wypędzona siedliska niedawno swoje odzyskała dziedzictwo, temu Tyko-

cin łask naszych pamiątkę, wieczną za powszechną zgodą stanów Rzeczypospolitej na sejm walny zgromadzonych, przychylając się do tegoż Sejmu konstytucji, na wieczność oddajemy.“

Od chwili przywiedzionej tu mowy Króla Jana Kazimimierzą nadaniem Starostwa Tykocińskiego, Stefanowi Czarnieckiemu lat wiele upłynęło. W ciągu tego czasu nieustanne wojny i napady nieprzyjaciół z jednej potyczki w drugą wzywały dzielnego naszego rycerza. Przyrosły do konia i szabli rzec można chwili nie spoczął, to też zwycięztw jego przez ten przeciąg czasu jako i blizn gęsto z różnych cięć nieprzyjacielskich odebranych, aniby zliczył na dzielnej Stefana choć podeszłej już wiekiem postaci.

Znali dłoń jego bohaterską Tatarzy, znało kozactwo i Szwedzi, toć gdzie się nasz Starosta Tykociński, następnie Wojewoda ruski ukazał, duch nowym zapałem ożywiał rycerstwo, i szala zwycięztw choć przeciw trzykroć liczniejszym nieprzyjaciołom na naszą przechylała się stronę.

Nadszedł rok (1664) tysiączny sześćsetny sześćdziesiąty czwarty w którym wkońcu października bohaterowi naszemu ostatnie miało zajaśnieć zwycięztwo, sławny szturm Stawiszcza.

Dzielny zawsze choć przyciśniony sześćdziesięciu sześciu laty i nieprzeliczonemi trudy Stefan Czarniecki, niezważając na zwątlony stan zdrowia spieszył pod Stawiszcze, skąd mu znać dano o wszczętym na nowo tam niepokoju.

Siłą męztwa i wolrycerskiej pokonać chciał nękające go coraz mocniej cierpienie, uznawszy jednak w końcu zupełne ciała osłabienie skutkiem rany zadanej mu pod Stawiszczami; z chmurzonem od bólu i smutku obliczem, na usilne rycerstwa nalegania, po raz pierwszy zsiadłszy z ulubionego tarant a do wygodnych sani, dozwolił zawieść się na leczenie do Lwowa. Ciężką i przykrą była podróż owemi czasy zwłaszcza w porze roku zimowej, pozbawiony lekarskiej opieki, jako i potrzebnego tyle choremu wczasu i wygody, słabł coraz bardziej starzec bohater, tak iż w końcu jako niemogącego znieść jazdy saniami, zmuszono przełożyć go na nosze. Za noszami niesionemi przez kilkunastu ludzi postępował wierny koń tarant, towarzysz tylu znojów i chwały rycerza. Łatwo wyobrazić sobie, ile czasu i rąk podróż taka z chorym wymagała. W połowie drogi, na odpoczynku w jednym miasteczku nadjechał posłaniec króla żądający widzieć się z chorym. Puszczony do starca, wręczył mu pismo Króla Jana Kazimierza udzielające Stefanowi buławę hetmańską, osieroconą po Lubomirskim synu tego Lubomirskiego, który był pierwszem opiekunem Czarnieckiego.

Smutno na jej widok uśmiechnąwszy się starzec, niejako z boleścią wypowiedział:

„Byłem pewny, że przyjdzie mi ona wtengdy mi sił nie stanie. Gdyby wszakże wola Stwórcy użyczyła mi ich jeszcze na czas jaki, okazałbym wdzięczność Królowi za wyświadczoną mi łaskę, jeśli zaś przyjdzie wprzód umrzeć, niechaj napiszą, żem był Hetmanem.“

W dni kilka stanął orszak z cierpiącym podróżnym w mieście Brodach, dziedzictwie drugiego opiekuna Stefanowego, Hetmana Koniecpolskiego. Wspomnienia uczuć młodzieńczych, chwili wesela w niezbyt odległej stamtąd wsi Mostach, nadzieja zobaczenia Czarńcy, gdzie przy osamotnionej bezustannie w ciągu pożycia małżonce, spodziewał się znaleść teraz ulgę i wytchnienie, łagodziły boleść znękanego starca. Przyśpieszono kroku, by zbliżyć upragnioną tak przez niego chwilę, lecz mimo najszczerszych usiłowań droga na każdym kroku stawała się trudniejszą. Było to w Lutym, śnieżna zawieja zasypując oczy niosących chorego, opóźniała pochód, a starzec słabł coraz bardziej mogąc ostatnie wydać tchnienie w polu, wśród zawieruchy zimowej. Okropnem było położenie patrzących na to. Wyglądali jak zbawienia pierwszego lepszego miasteczka, gdzie by przynajmniej pod osłoną jakiegokolwiek domostwa złożyć mogli dogorywającego bohatera. Po parogodzinnej podróży wśród ciągłej i wielkiéj obawy o życie chorego odbywanej, ukazały się niskie zabudowania miasteczka Sokołówki. Niosący towarzysze ostatnie zebrawszy siły, przekopując ogromne zaspy śniegowe, dążyli o ile tylko mogli, a doszedłszy do pierwszej chaty przy drodze, w tej na wąskiem i twardem posłaniu, jak twardem było całe życie wielkiégo rycerza, złożyli na wpół już martwe ciało jego.

— Gdzie umieściliście taranta? pytał zaledwie dosłyszanem głosem.

Na odpowiedź, że u żłobka za sienią rzekł: — Przyprowadźcie go tutaj.

Umieram zdala od swoich, zdala od żony i dzieci, on jeden towarzysząc mi we wszystkich niebezpieczeństwach, nie opuścił mnie do téj ostatniej chwili. Wprowadzcie go do mnie, patrząc na wiernego taranta, będę miał wspomnienie mych lat niedaremno przeżytych, a to osłodzi mi ból ciężki, ból konania tu, pod tą strzechą, zdala od najmilszych sobie."!

Pośpieszono wypełnić rozkaz chorego i wierny tarant z głową spuszczoną przestąpił próg izby, a całą dobę stojąc nieruchomie, z wzrokiem w pana swego wlepionym, jakoby człowiek ciężkie wydawał westchnienia, nie patrząc na znajdujący się przed nim dobry obrok.

W izbie przyległej przez drzwi otwarte widać było bladą z przymkniętemi oczyma postać zbawcy ojczyzny, przy nogach łoża siedział kapłan czytając głośno modlitwy z księgi nabożnej.

Po odbyciu świętej spowiedzi, iskra nowego życia pokrzepiła starca. Siadł o swej mocy na łożu, dając obecnym ostatnie co do żony i dziatek rozporządzenia.

Pocieszyli się towarzyszący, widząc taką błogą zmianę, lecz był to blask życia ostatni jak światło dogorywające przed zagaśnięciem na wieki.

Noc całą przepędzili wszyscy przy łożu Hetmana, ciesząc się nadzieją, iż z nastaniem dnia będą mogli z nim w dalszą ku domowi puścić się podróż.

Uśmiechał się starzec na te słowa życzliwych, przeczuwając już inną wolę Stwórcy w ubiegającym z wolna życiu. Równo ze świtem zażądał świętej Komunij i ostatniego namaszczenia, a po pożegnaniu wiernych towarzyszów podróży, zażądał przyprowadzenia do łoża rumaka.

Szedł biedny tarant, chwiejąc się na nogach, Przyprawadzony do łoża chorego, gdy uczuł na swej szyi stygnącą rękę Hetmana, padł przy posłaniu jego i w jednej chwili z ukochanym panem ostatnie wydał tchnienie.

Wysłano natychmiast dwóch gońców, jednego do Warszawy, drugiego do Czarńcy. Pierwszego z zawiadomieniem króla o stracie najdzielniejszego z obrońców Ojczyzny, drugiego do wyglądającej na próżno małżonki, o ciężkiej dla niej żałobie.

Król Jan Kazimierz rozkazał przewieść zwłoki bohatera do Warszawy, dla uczczenia ich wspaniałym pogrzebem. Dopiero ztamtąd stósownie do ostatniej woli zmarłego przewieziono je do rodzinnej Czarńcy, gdzie spoczywają w grobach parafjalnego kościołka żadnym dotąd nie ozdobione nagrobkiem. I zaiste, któryż byłby trwalszym i godniejszym nad ten, jaki wielki mąż rycerz zbudował sobie dzielnemi czyny w dziejach i sercach współbraci.

Każdy modlić się powinien.

—

Za Krakowem wznoszą się prześliczne wysokie góry, ciągnące się pasmami, nazwane Karpaty. Oddzielają one Polskę od Węgier, a wierzchołki mają w obłokach. W górach są miejsca nieprzystępne, dzikie w których niegdyś ukrywali się rozbójnicy, zwani opryszkami, W téj .to okolicy, w nie wielkiej wiosce, mieszkała pobożna, pracowita, lubiona od sąsiadów, wdowa od kilku już lat. Szymonowa dwoje miała dzieci, Jaśka ośmioletniego chłopczyka i Marysię trzy lata starszą od brata. Nie wielki dostatek został jéj się po mężu, bo tylko chałupa i ogród ale tak gorliwie pracowała w lecie w polu i w ogrodzie, w zimie przy igle i przy kądzieli, że nie tylko ona i dzieci najedzone i okryte były, ale żebrak, i podróżny w chacie Szymonowéj, miał się czem posilić i był od niéj serdecznie witany, bo też to było takie ludzkie kobiecisko, że każdemu przysłużyć się i dopomódz, było jéj największą przyjemnością. Nie było dnia, żeby ktoś z gromady nie potrzebował zajrzeć do Szymonowéj, to o poradę, to zapytać o co. Miała w swojéj chałupie obraz Ś. Józefa, który w spuściznie dostała po rodzicach, a który cała jéj familija za cudowny uważała. Co dzień też przed tym Świętym obrazem rano i w wieczór z dziećmi pacierz odmawiała, co dzień temu Świętemu opiekunowi polecała swoje dzieci. Tak to już wiadome było całej gromadzie, tak wszyscy przez nią nabrali ufności w pomoc i opiekę Ś. Józefa, że w każdéj ważniejszéj rzeczy, czy kto był bardzo chory, umarł, urodził się, albo się żenił, przychodzi-

li do Szymonowéj modlić się przed cudownym obrazem. Pewnej niedzieli Szymonowa podług zwyczaju ubrawszy siebie i dzieci, poszła z niemi do kościoła. Dziedziczka tej wsi, choć zawsze pobożna i przykładna, tym razem żarliwiej jak kiedykolwiek modliła się, klęcząc na stopniach ołtarza w czarnem ubraniu. Straszna boleść malowała się w jéj twarzy, po ciągłych poruszeniach, znać było, że z oczów łzy ocierała. Zwróciło to uwagę Marysi, córki Szymonowéj, bo wróciwszy do domu rzekła; „Powiedzcie mi matko, o co ta pani tak modli się i prosi Boga? Taka bogata, ma powozy i śliczne ubranie, a przecież co niedziela najbardziéj ze wszystkich się modli, a przy tej modlitwie płacze, jak to i dzisiaj widziałam.“

„Moje dziecko rzekła Szymonowa, myślisz że kto ma majątek, ten już nie cierpi i o nic Boga prosić nie ma potrzeby? O często bardzo, łzy bogatych są tak gorzkie i ciężkie, jak i łzy biednych. Ta pani choć bogata, jest sierotą, trzy lata temu straciła matkę, a w kilka miesięcy potem ojca, ma tylko opiekunów, dobrych wprawdzie, ale to nie to, co są rodzice. Ma ona też czułe serce dla każdego, chorego, czy nieszczęśliwego, każdemuby pomódz i poradzić chciała. Kiedyś w pierwszym roku na gorączkę była chora, wieleż to ona razy u ciebie była, a za każdym razem, jakeś ty była słabsza, to ona smutniéjsza, nikt zaś w gromadzie chory, czy nieszczęśliwy jéj oczu i opieki nie ujdzie. Przytem świetléjsza od nas, dużo w książkach czyta, to nie o jednem i nie o dziesiątem nieszczęściu dowie się, i jest smutna. O moje dziecko, ciężki to żal dla dobrego serca, widzieć kraj w niedoli widzieć nieszczęśliwych, albo słyszeć o nich, a nie módz nic poradzić. Przytem moja Marysiu, cóż człowiek przewidzieć może, nie wiemy jak dzień zakończymy, nigdy się więc zbytecznie weselić niepowinniśmy. A gdyby nawet żadne nieszczęście nam nie groziło, żebyśmy wszystkich ludzi szczęśliwymi widzieli, to przecież, nie na tej ziemi koniec życia naszego, a jakże tam o wiele rzeczy, jak nie równie o więcej prosić nam trzeba jak tutaj. „Marysia słuchała tego wszystkiego, wiele rzeczy dobrze rozumiała o innych myślała sobie, jakoś to nie tak przecież smutno na świecie, żeby aż trzeba było tak bardzo modlić się, jak nasza dziedziczka robi, a nucąc sobie wesoło, prosiła matki o pozwolenie pójścia z bratem po kwiatki i zioła, na wianki do kościoła, ponieważ w przyszły czwartek miała być oktawa Bożego Ciała Pozwoliła na to matka mówiąc, żeby się nie dalej zapuszczali, jak do sąsiedniej wioski Wybiegły szczęśliwe dzieci, i to ziółko, to kwiatek znalasłszy, ubiegały się które więcej nazbiera i więcej wianków zaniesie do kościoła. Biegając tak ciagle, to z góry na dół, to z nowu na górę, ani się spostrzegły, że daleko oddaliły się od domu. Zniknęła im z oczu nie tylko ich wioska rodzinna, ale i sąsiednia, zgubiły drogę i ślad, a znalazły się wsród samych tylko ponurych lasem okrytych gór, nie wiedziały, w prawo naprzód czy w tył mają się udać. Na niebie gwiazdy pokazały się. Zmierzchać się już dobrze zaczęło, a biedne dzieci niewiedzą cgdzie się znajdują, zaczęły płakać. Tutaj nas pewno zabiją rzekł Jasio: pamiętasz co sołtys opowiadał matce, że tutaj gdzieś są zbójcy. Rzekła Marysia: niema rady mój bracie, nikt nas ztą nie wybawi, tylko Bóg i cudowny Ś. Józef, którego wizerunek jest w naszej chacie Matka zawsze mówi, że on patron nieszczęśliwych.

Uklękły więc biedne dzieci, i ze skruchą zaczęły oomawiać psalm. *Kto się w opiekę poda Panu swemu*, a potem modlitwę do Ś. Józefa, którą codzień odmawiały zmatką.

—Oj prawdę matka mówiła, rzekła Marysia że każdy modlić się powinten, bo nie wie, co go spotkać może. Trzeba tutaj noc przepędzić. Tu oto prześpiemy się pod tym krzakiem, a jutro jak świt, będziemy szukać drogi; po dniu, łatwiéj się pomiarkujemy. Koło naszej wsi na lewo jest lasek sosnowy, nigdzie na okolicę takiego niema, może go dojrzemy i poznamy naazą wieś. Marysia zebrała ziołka które uzbierali, narwała trochę trawy okryła szeroko fartuszkiem i była poduszka sukmanką zaś Jaśka okryli się oboje, a żegnając się raz jeszcze krzyżem Stym, zbłąkane dzieci zasnęły spokojnie. Nazajutrz już słońce jasne rzuciło promienie i pozłociło góry, a rosa jakby perłami posypała ziemię, kiedy Marysia pierwsza obudziła się, a poruszywszy kilka razy Jaśka, wstawaj mówiła: widzisz Bogu dzięki noc szczęśliwie przespaliśmy.

nic złego nam się nie stało, Ś. Józef nas bronił, trzeba Bogu podziękować za to. Chłopczyna przetarł oczy i uklęknąwszy oboje odmówili znów pacierz i zaczęli spiewać: *Pod Twą obronę*, tak modląc się i spiewając na wzgórzu nie wiedziały, że pod ich nogami jest jaskinia, gdzie spoczywa kilkunastu rozbójników. Powrócili właśnie z jakiejś wyprawy. Jeden leżał na trawie, a ślady krwi miał na ręku. Inny rzucał się we śnie jakby w gorączce, mówił od rzeczy, znać trunek jeszcze nim władał. Na ławie zaś przy drzwiach leżał nie młody już z siwą głową, najstarszy z nich wszystkich człowiek. Przewracał się to w tę, to w ową stronę, znać że było mu żle leżeć, nareszcie przebudził się, przeciągnął się i ziewnął kilka razy, wstał i wyszedł przed jaskinię. Przyjemny głos dziecinnéj modlitwy obił się o jego uszy obejrzał się w koło, a zobaczywszy na górze dwoje modlących się dzieci, siadł sobie zdala pod krzakiem, a ręką podparłszy głowę, długo zamyślony siedział. Nareście potarł ręką czoło i rzekł: mój Boże! i ja kiedyś modliłem się a dziś.... wtedy też inaczéj było człowiekowi i w sercu i w głowie, i znów się zamyślił i długo tak siedział jak skamieniały, potem wstał mówiąc do siebie:

— Trzeba ostrzedz biedne dzieci, śmierci by nie uszły, dość duże i roztropne, mogłyby powiedzieć, baliby ich się nasi i tak mrucząc wszedł na górę.

Dzieci spostrzegłszy człowieka wdrapującego się na górę, przestraszone, zerwały się od pacierza i chciały uciekać. Nie bójcie się rzekł: ja wam nic złego nie zrobię, chcę was tylko zapytać, z kąd jesteście? i po co tu przyszliście? My z drugiéj wioski za górami, tam gdzie kościół, rzekła Marysia.

— Chodziliśmy po ziołka i kwiatki na wianki, na Boże Ciało, do naszego kościoła, a tak chodząc zabłąkaliśmy się, że nie wiemy jak trafić, bo ani naszéj wsi i kościoła, ani nawet żadnej wioski w tych górach niewidać, dodała na wpół z płaczem.

— Ja was z tąd wyprowadzę rzekł stary, tylko pamiętajcie nikomu o tem nie mówić, zeście tutaj były, i szedł naprzód wąską dróżyną, dzieci postępowały za nim. Szymonowa tymczasem nie widząc dzieci, wieczorem niespokojna pobiegła na wieś, obeszła wszystkie chałupy, a nie znalazła ich nigdzie. Nie kładła się i nie spała wcale. Całą noc przepędziła na modlitwie, zapaliła lampę przed cudownym Ś. Józefem i tak doczekawszy się rana, jak tylko świtać zaczęło, poszła na nowo szukać dzieci, obiegła znów też same co wczoraj miejsca, a nigdzie ich znowuż nie znalasłszy, poszła w stronę ku górom i uszedłszy z ćwierć mili, spostrzegła zdaleka swoje dzieci, a z niemi starego człowieka.

Pędem pobiegły ku matce, sciskały, całowały ją, i opowiedziały wszystko. „Żeby nie oni wskazując na starego, żeby nie oni, pewno byśmy zginęli na tych górach, bo Grzegórz opowiadał nieraz, że tam mieszkają zbóje. Szymonowa zwróciwszy się do starego, dziękowała jak tylko mogła, prosiła, żeby nie gardził jéj chatą, żeby się choć garnczkiem mleka u niej posilił. Stary wymawiał się, iść nie chciał, ale to wszystko nic nie pomogło, Szymonowa tak prosić i niewolić umiała, że w końcu dał się nakłonić i poszedł z niemi.

(Dokończenie nastąpi.)

PIELĘGNOWANIE CHORYCH.

Część Pierwsza:

Utrzymanie chorego (Hygiena.)

(Dalszy ciąg.)

Powietrze w pokoju chorego.

—

Zimową porą, szczególniej u nas, nie zawsze można otworzyć okna lub lufciki, w takim razie oczyszcza się powietrze przez napalenie na kominku i otworzenie drzwi do przyległego pokoju.

Jeżeli chory może wyjść do przyległego pokoju to i zimową porą można, zapaliwszy w piecu, otworzyć lufcik lub okna; ale chory dopiero wtedy może powrócić do swego pokoju, gdy po zamknięciu lufcików nagrzeje się uprzednio w nim powietrze do takiej temperatury jaką miał przed przewietrzeniem.

Jeżeli chory w chłodną porę nie może być poruszony ze swego pokoju, potrzeba uprzednio przewietrzyć sąsiedni pokój a dopiero

zapasem swieżego powietrza tak nagromadzonym, oczyszcza się powietrze w pokoju chorego.

Do należytego przewietrzania wystarczają, dobrze urządzone drzwi, okna i piece, lub co lepiej kominki palące się z pokoju, na których można w tym celu podtrzymywać ciągły, nie wielki, umiarkowany ogień.

W szpitalach dla sprowadzenia swieżego powietrza, urządzone są w blizkości okien przewiewniki.

W ogóle potrzeba pamiętać, że przy przewietrzeniu nienależy wystudzać pokoju chorego.

II Ogrzewanie pokoju chorego.

W niektórych szpitalach, sale dla chorych ogrzewane bywają powietrzem ciepłem, prowadzonem rurami do sal; w domach prywatnych ogrzewają się pokoje zapomocą kominków i pieców. Piece bywają żelazne i kaflane, żelazne wydają ciepło nie równe, prędko się rozgrzewają, jeszcze prędzej stygną, przytem od osiadającego na nich pyłu przy mocnem nagrzaniu, powstaje swąd. Najlepiej w piecu palić często lecz umiarkowanie.

W piecach kaflowych albo się pali z pokoju chorego, albo z przyległego pokoju, przy paleniu z pokoju chorego lepiej się oczyszcza powietrze, ale może być od wypadnięcia głowni swąd, czego potrzeba unikać.

Do palenia najlepsze jest drzewo twarde grabowe lub brzozowe; drzewo miękkie sosnowe pali się z trzaskiem, często nieprzyjemnym dla chorego. Wkładając drzewo do pieca nie należy robić hałasu. Dla rospalenia w piecu najlepiéj posługiwać się rozżarzonemi węglami, i nie przenosić przez pokój głowni lub łuczywa dymiącego. W czasie palenia należy doglądać, żeby rozżarzone węgle nie wypadały z pieca na podłogę, dla uniknienia tego najlepsze są piece z hermetycznemi drzwiczkami. Rura od pieca nie wpierw powinna być zasuniętą, póki się drzewo zupełnie nie wypali, co poznaje się z tego że nad węglami nie widać sinawych płomyków.

Wyjąwszy szczególnych wypadków w jakich lekarz zaleci wyższy stopień ciepła, dodostateczne są w pokoju chorego 14 stopni a najwyżej 15 ciepła, podług ciepłomierza Reomura. Zbytnie ciepło szkodliwem jest szczególniej w gorączkowych wysypkach (u dzieci), w zapaleniach mózgu i cierpieniach ocznych.

IV Swiatło i oświecenie pokoju chorego.

Słoneczne światło jest równie niezbędnem dla człowieka jak swieże powietrze. Ludzie którzy przepędzają znaczną część czasu w miejscach ciemnych i pozbawionych światła słonecznego, mają cerę bladą, mięsa miękkie, obrzmiałe, mniej i źle oddychają. Zresztą od braku światła słonecznego rozwija się w pokoju chorego wilgoć i zbutwiałość, co najlepiej widać w kątach do których toż światło niedochodzi.

Prawie zawsze instynktem kierowani chorzy leżą twarzą obróceni ku oknu, jednak nie powinni tak leżeć, aby w prost w oczy biło światło słoneczne, lub światło odbite od naprzeciwko znadującego się na biało pomalowanego domu.

Zbytnie światło słoneczne można umiarkować przez spuszczenie rolet, zasunięcie zazdrostek, lub też zamknięcie okiennic. Zupełnie zaciemnionym może być pokój tylko dla chorych na oczy, lub na gwałtowne obłąkanie.

Wieczorem i nocą oświeca się pokój chorego świecą lub lampkami. Lampy olejne i naftowe dają za wiele światła a przytem te ostatnie rozlane zagrażają pożarem. Najtańszą jest lampka składająca się z korka i krzyżyka blaszanego, przez którego środek przechodzi cienki knotek. Korek ten wkłada się do kieliszka lub szklanki z olejem. Kiedy się już nieco oleju odpaliło, do szlanki dolewa się wody. Swiece łojowe potrzebują częstego objaśnienia i także swędzą. Najlepsze są swiece stearynowe wstawione na korku do wydrążonych swieczników nalanych wodą, w miarę tego jak się wypala, swieca podnosi się do góry i niema przypadku, żeby swieca spłynęła, upadła na ziemię lub też co zapaliła. Swiatło nie powinno razić wzroku chorego, dla czego przed swiecą lub lampką stawia się zasłona, najlepiej z zielonej materyi. Najdogodniej żeby swieca w nocy stała na środku pokoju.

V Łóżko, pościel i inne dla leżenia chorego potrzebne rzeczy.

1) *Łóżko dla chorego* bywa drewniane, lub żelazne; to ostatnie chociaż chłodniejsze, za to nie tak łatwo w niem zalęga się robactwo. W tym celu łóżka drewniane powinny być posmarowane pokostem. Spód łóżka bywa

z drzewa, z płótna, albo z pasów; najlepsze są pasy, bo przepuszczają swieże powietrze, i mniej prędko przy nich butwieją materace. Łóżko powinno być tylko tak wysokie, żeby głowa leżącego chorego nie znajdowała się wyżej otworu pieca, szerokość łóżka dostateczną jest $1\frac{1}{2}$ łokcia. W łóżkach dla dzieci i dla chorych gorączkowych, boki niepowinny być zbyt niskie, żeby chory nie wypadł. Jeżeli chory nie jest za słaby, i może się podnieść, to dla ułatwienia mu tego ruchu, dobrze jest umocować pas w nogach łóżka, lub też u sufitu. U chorych nie mogących się podnosić (np. przy zranieniach i złamaniach,) dla podłożenia opatrunku, zmiany bielizny na pościeli i t. p. potrzeb, używa się windy, do której umocowany jest szeroki pas podkładający się pod plecy chorego; za pociągnięciem sznura windy, chory unosi się do góry i potrzeba go tylko utrzymać w powietrzu za ręce i nogi.

U ciężko ranionych lub u mających złamaną kość chorych, aby kołdra nie dotykała się miejsca cierpiącego, przytwierdza się w tym celu do boków łóżka jedno lub dwie obręcze, na których kładzie się kołdra. Do obręczy tych zawiesza się na sznurku pęcherz z tłuczonym lodem lub ze śniegiem; jeżeli lekarz zalecił lodowe okładania zranionej części.

Wszelkie firanki i kotary jako niedopuszczające światła i swieżego powietrza do chorego, są bezwarunkowo szkodliwe.

Łóżko ustawia się głowami do ściany, w miarę możności w oddaleniu od drzwi, od okna i pieca, tak aby ze wszystkich stron był łatwy dostęp do chorego. Jeżeli nie można uniknąć postawienia łóżka bokiem do ściany, to trzeba, odsunąwszy nieco łóżko, na ścianie zawieśić dywan lub kołdrę wełnianą, albo postawić parawan między łóżkiem a ścianą. Łóżko nie powinno stać w ciemnym kącie pokoju,, ale także słońce nie ma świecić prosto w oczy choremu, czem można zapobiedź parawanem lub spuszczeniem rolet. Przed łóżkiem można rozciągnąć kobierzec wełniany, aby chory wstając nie dotykał się nogami zimnej podłogi.

2) *Pościel dla chorego* powinna się składać *z materaca* na sprężynach, który ma tę dogodność, że przepuszcza powietrze do leżącego na nim cieńkiego materaca wysłanego końskim włosem, lub morską trawą. W braku dolnego materaca na sprężynach, zastąpić go może siennik wysłany równo słomą lub świeżem sianem. Najgorsze są materace pierzane czyli piernaty z powodu, że zanadto rozgrzewają, co szkodzi dzieciom, ludziom młodym i chorym, gorączkowym stają się przyczyną odleżenia, a przytem wznosi się z nich puch sprawiający nieporządek w pokoju chorego, nad to piernaty trudno przetrzyć i dobrze przesuszyć. A kogo niestać na materace, to dostateczne są sienniki wysłane słomą lub sianem, zważać tytko trzeba, żeby słoma nie zbutwiała, i dla tego dość często odmieniać ją potrzeba. Na materac lub siennik kładzie się równo prześcieradło, zważając żeby nie było fałd, prześcieradła podtykają się pod materac. *Poduszki* najmniej dogodne są puchowe i pierzane, najlepsze zaś wysłane końskim włosem lub u biednych ludzi sieczką, a przynajmniej na wierzchu leżąca powinna być z końskiego włosa. Ilość poduszek zależy od przyzwyczajenia chorego, i od rodzaju choroby. Zwyczajnie wysoko mają pod głowami albo zupełnie siedzą chorzy mający dychawicę lub uderzenie krwi do głowy, przeciwnie powinni nisko leżeć ranni po wielkiej utracie krwi, ludzie skłonni do odleżenia i dzieci przełamane. W ogóle poduszki powinny być tak ułożone, żeby dobrze podtrzymywały ciężar ciała, żeby chory jak to mówią w nich nie tonął, i przez to nie miał zatamowanego oddechu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przedpłata wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12, — półrocznie złp. 6. — ćwierćrocznie złp. 3· — miesięcznie złp. 1
Naprowincyi, na wszystkich stacjach pocztowych bezkopert złp. 13 gr. 10.
Naprowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem przedpłata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 1 gr.10 za exemplarz pisma, każdy preunmerator dopłacatytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp. 6 gr. 20 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty·

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 21 Czerwca 1863 r.